

Nic tak eksplozywnie i w tak niebywale szerokiej skali, niezwykle liczny zespół czynników potrafi uruchomić rozległą gamę wszelakich projekcji jak potencjał jubileuszowych obchodów. Toteż nie może budzić zdumienia fakt, iż jubileusz 60-lecia Nowej Huty za sprawą szeregu instytucji kulturotwórczych, najróżnorodniejszych placówek tudzież społecznych organizacji, akceleracyjnie ostro wystartował z inicjatywną machiną, niosącą z sobą nieprzebrane ilości koncertów, widowisk, spektakli, filmowych seansów, różnego autoramentu artystycznych imprez i nie tylko. Owa wzmożona batalia bezprecedensowego ruchu artystycznego była efektem niewiarygodnej liczby funkcjonujących, w nowohuckiej dzielnicy, artystycznych formacji, łącznie z tymi, których manifestacje estradowe wiązały się z ich reaktywnością, a także udziałem indywidualnych wykonawców, którzy swoimi występami ową panoramę artystyczną wzbogacili.

W tym kontekście zdumiewającą uwagę czynników medialnych zaprzętał – w sposób szczególny – fakt, iż na gruncie nowohuckim w systemie socrealizmu, mógł zaistnieć Jazz Klub. A na domiar owej osobliwości: pod auspicjami ZMS. Nie sposób również podkreślić istotnego fenomenu wyrażającego się w tym, iż w placówce tej rozbrzmiewały synkopowane dźwięki, których autotwórcami była cała plejada najwybitniejszych tuzów naszego rodzimego jazzu. Co nie oznacza, iż w co poniektórych jam-sessions obywało się bez jazzmanów z naszego kraju.

Przyjmując a priori, iż świadomość społeczna poddawana była przeświadczeniu o absolutnej dominacji indoktrynerskiej ideologii, i to we wszystkich sferach życia minionej epoki, spotyka się z repliką. Nurt bowiem liberalny pozwolił na zgola odmienną kontestację i odsłonił przed nami w sposób przekonujący szereg zdarzeń dowodowych.

Powstanie Jazz Klubu i uprawianie – w towarzystwie sztafażowego wystroju – synkopowanej muzyki wywodzącej się z kultury Zachodu, z dzisiejszej perspektywy stanowi niewątpliwie swoisty ewenement. Idąc nieśmiało tym tropem, w średniej szkole muzycznej, gdzie miałem szczęście kształcić swój głos na wydziale wokalnym, na kanwie sprzyjającego spotkania z dyrektorem Juliuszem Weberem, zdobyłem się na taką oto heroiczną odwagę: - Panie Dyrektorze! – Czy możemy w naszej szkolnej auli zorganizować jam session? Proszę uwierzyć! – prościej było wyobrazić sobie, że za chwilę mogę wylecieć ze szkoły – jak z katapulty – a ja usłyszałem zgodę. To oczywiście wywołało we mnie stan kompletnego zastygnięcia, a serce biło jak dzwon Zygmunta.

Sprokurowany jazzowy wieczór uświetniła nie tylko czołówka jazzmanów krakowskich i nowohuckich, lecz również młodzi adepci, którzy wcale ciekawie zaawizowali swoją jazzową perspektywę. Nobilitatywną obecnością zaszczycił nas wicedyrektor Stefan Smiczka i – co niezwykle istotne – bezgranicznie uszczęśliwił udostępnieniem szkolnej perkusji.

Z kolei ogromnego zaskoczenia dostarczyła nam lekcja literatury muzycznej. Zapewne była ona niejako reperkusją jazzowego wieczoru. Profesor Zofia Weberowa (żona Dyrektora) podczas lekcji zademonstrowała celem identyfikacji: muzyczne nagranie. Tak się złożyło, iż miałem za sobą odbyty koncert z udziałem amerykańskiego kwartetu. Momentalnie uniosłem dwa palce w górę, aby triumfalnie oznajmić, iż jest to jazzowa formacja Dave'a Brubecka. Z

satysfakcją wyznając, iż owe dwa zdarzenia w konsekwencji utorowały drogę do powstania w szkole klasy jazzowej. A edukacyjne sukcesy święcili w niej znakomity jazzman, multiinstrumentalista, kompozytor, publicysta prof. Lesław Lic.

Ciekawostką w kontekście totalnego paradoksu można uznać taki oto fakt, iż właśnie Lesław Lic nieco wcześniej przed zorganizowaniem wspomnianego jamu w PSSM nie omieszkał na łamach „Jazzu” udzielić cennych porad Stanisławowi Chorążemu, który na tych samych łamach uskarżał się na brak perspektyw w Nowej Hucie dla zespołu młodych chłopców, którzy pragną wykonywać muzykę jazzową.

W sytuacji skodyfikowanej działalności, w instytucjonalnej placówce, której podwoje dla jazzmanów były od dłuższego czasu na oścież otwarte, tego rodzaju konfabulatywne publikacje mogą jedynie wywołać zdumiewający rezonans. Próby upowszechniania opinii o braku warunków, umożliwiających młodym pretendantom rozwój ich jazzowych aspiracji, nie miały tylko charakteru jednostkowego.

W tym miejscu myśl przewodnia, stała się wyznacznikiem powrotu do cudownego początku, będącego znakomitym perspektywnym prognostykiem dla szerokiego nurtu jazzowego.

Podjęcie studiów w Akademii Muzycznej okazało się być nie tylko kontynuacją wiedzy i doskonalenia umiejętności muzycznych. Niezawodnie było również przyjazną płaszczyzną do wzbogacania atrybutywnych zasobów, którym na imię jazz.

Co prawda na przestrzeni 4-letnich zmagania z materia muzyczną niekiedy odczuwalnie oporną, jako że nie zawsze przekładalną na język praktyki. Aczkolwiek przykładowo nabyte umiejętności gry na gitarze, przekazywałem – w formie zmodyfikowanej – na użytek młodych ludzi w ramach mojej kulturotwórczej pracy w ZDK. Czy w dalszej perspektywie ich muzykowania pojawiły się frazy jazzowe trudno wyrokować. Przy czym 5 rok studiów zaowocował wydarzeniami, które okazały się być zwieńczeniem realizowanych idei o jazzowych preferencjach.

Lekcja w Państwowej Średniej Szkole Muzycznej dotycząca wiedzy z zakresu literatury muzycznej została zarysowana powyżej. A w Akademii Muzycznej literaturę serwowała nam profesor Zofia Burowska, pełniąca jednocześnie funkcję dziekana naszego wydziału. Na jednym z zajęć p. dziekan poleciła naszej grupie opracowanie referatu, adresowanego do młodzieży, preferującego muzykę poważną. Na tak postawione dictum, poprosiłem o głos, a jego struktura myślowa brzmiała następująco: Mam taką gorącą prośbę, aby Pani Profesor wyraziła zgodę na napisanie przeze mnie referatu, propagującego muzykę zespołu Skaldów. Po czym dodałem: Mam taką wiarę, iż jego formułę Pani Profesor zaakceptuje. Na kolejnych zajęciach zaprezentowałem tekst referatu, co sprawiło, iż zostałem desygnowany na prowadzącego koncert muzyki klasycznej, z udziałem studentów naszej uczelni w Krakowskim Domu Kultury „Pod Baranami”. Do dzisiejszego dnia nie pojmuję przełożenia owego referatu na charakter koncertu.

Nie mniej istotne jest to, że referat otrzymał aprobatywną ocenę, a jego następstwem – jak wskazywały wszelkie znaki na niebie i ziemi – iż przekonująca zawartość referatu okazała się być małym prorokującym preludium do kolejnej okoliczności o znacznie większym formacie.

Póki co! – nawiązując do szczęśliwej puenty lekcji historii literatury muzycznej, uchylmy motywy pozytywnej recenzji. Koncepcja wyboru Skaldów jako oferty muzycznej dla młodych słuchaczy uzasadniłem w sposób następujący: skoro zainteresowanie młodzieży koncentruje się głównie na muzyce big-beatowej to pozwólmy jej emocjonować się Skaldami. Wykonawcy tego zespołu bowiem charakteryzują się odpowiednim wykształceniem muzycznym (studenci Akademii Muzycznej), a ich wiedza i umiejętności zapewniają młodym słuchaczom wysoki poziom artystyczny, kształtujący pożądane wzorce estetyczne.

Czy w toku kolejnych zmagania z materiałem coraz trudniejszych do przyswojenia wiedzy i umiejętności muzycznych, w tym również sprawności w prowadzeniu chóru i orkiestry (wszak działo się to już na 5 roku studiów) – na płaszczyźnie dominacji muzyki klasycznej mogły pojawić się w mojej świadomości przebłyski jazzowej frazy? Z dzisiejszej perspektywy jednoznaczność odpowiedzi w tej kwestii jest raczej enigmatyczna. I tu pragnę wyznać, iż owe rozważania przebiegały w kontekście niezwykle uciążliwej pracy: nadmierny bagaż zadań z tytułu konieczności przygotowania gigantycznego widowiska na scenie Teatru Ludowego, z udziałem wszystkich formacji artystycznych ZDK łącznie z filialnymi zespołami – wzbogaconego również ilustracjami filmowych projekcji. Przypisanie mojej osobie owa uciążliwość rozkładała się na konieczność penetracji wszystkich placówek podległych centrali ZDK. I wymagała szczególnej kondycji, a także wytrawnego zmysłu organizacyjnego. A na domiar szerokiego zakresu działań, nałożył się obowiązek kilkakrotnych dojazdów na uczelnię, celem sfinalizowania końcowych egzaminów oraz zaliczeń.

Na szczęście w naszym życiu właśnie w najbardziej ekstremalnie dramatycznej sytuacji czasami pojawia się dobry omen, aby nieodzownie zaaplikować nam atrybut zmienności losu.

Jako że pojawił się zbawienny czas ustalania tematu pracy magisterskiej, niezwłocznie – acz nie bez towarzyszącej tremy – udałem się do dziekanatu, aby ów akt formalny mógł się dokonać. Kiedy drżącym głosem, uprzejmie i nieśmiało zapytałem pani dziekan jaki mam podjąć temat pracy? – odpowiedź wprawiła mnie wręcz w stan furialnej szczęśliwości. A brzmiała ona w formie niezbyt semantycznej poprawności: „A pisz Pan o tych swoich dżezach i bitach”. Tu spieszę wyjaśnić, że Pani Profesor Zofia Burowska nie przestrzegła niewolniczo swojej profesorskiej pryncypialności, co przyczyniło jej ze strony studentów i estymę i uwagę.

Toteż moja dla Pani Profesor niewysłowiona wdzięczność – w sposób cykliczny – była wyrażana intencyjną modlitwą.

Konkludując przedstawione niezwykle nośne wątki, które tworzą sekwencję być może wywołają w rezonansie odbioru ze strony internautów przeświadczenie, iż ich waga,

znaczenie, a nade wszystko jako idee sprawcze, godne są szerszego upowszechnienia, jako że odegrały bezprecedensową rolę dokonując niejako swoistego przełomu, w dogmatycznym pojmowaniu – głównie przez fundamentalnych obrońców – zasad muzycznego kształcenia w duchu klasycznego kanonu.

A mimo to w owym triumfującym pochodzie pojawia się trudne do skategoryzowania uczucie: - tak wybitne i niezwykle prężne krakowskie środowisko muzyczne – nie dokonało zwieńczenia wyjątkowo liczącej się skali rozwoju jazzowego „zawojowania”, powstaniem na krakowskiej uczelni wydziału jazzu. Dlaczego? W głębokim zamyśleniu, wraz z ubolewaniem pozostaję

Stanisław Florek